

Rana Foroohar

nie czyń zła

Don't be evil • **Don't be evil** • Don't be evil • **Don't be evil** •
• **Don't be evil** • Don't be evil • **Don't be evil** • Don't be evil •
il • Don't be evil • **Don't be evil** • Don't be evil • Don't be e

Jak Big Tech
zdradził swoje ideały
i nas wszystkich

wydawnictwo
poltext

Nota od autorki

Niektóre książki rodzą się z wielkich, abstrakcyjnych idei, inne swój początek mają znacznie bliżej domu. Punktem wyjścia mojej poprzedniej książki, zatytułowanej *Makers and Takers* (Ci, którzy tworzą, i ci, którzy na tym korzystają), była prowadzona na najwyższym szczeblu debata na temat polityki sektora finansowego.

W *Nie czyń zła*, w której bacznie przyglądam się szkodom gospodarczym, politycznym i poznawczym wyrządzonym przez przemysł technologiczny w ciągu ostatnich 20 lat, przyjmuję wprawdzie szeroką perspektywę, ale jej powstanie zawdzięczam okolicznościom znacznie bardziej kameralnym.

Wszystko zaczęło się pewnego popołudnia pod koniec kwietnia 2017 roku. Wróciłam do domu z pracy, wzięłam do ręki wyciąg z karty kredytowej i nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Ponad 900 dolarów obciążeń, które nic mi nie mówiły, za zakupy dokonane w sklepie z aplikacjami Apple'a. Na początku pomyślałam, że ktoś włamał się na moje konto. Jednak po dokładniejszym zbadaniu sprawy okazało się, że winien był mój dziesięcioletni wówczas syn. Kwota uzbierała się, kiedy kupował kolejnych wirtualnych graczy do swojej ulubionej komputerowej gry w piłkę nożną. Krótko mówiąc, jego elektroniczne urządzenia zostały natychmiast skonfiskowane, a wszystkie hasła zmienione.

Niedługo później szersze implikacje tego zdarzenia zaczęły pochłaniać sporą część mojego czasu i uwagi, jednak w zupełnie inny sposób. Zaczęłam wówczas pracę jako komentatorka biznesowa w „Financial Times” , największej na świecie gazecie o tematyce finansowej i gospodarczej. Moim zadaniem było pisanie cotygodniowych felietonów poświęconych najważniejszym aktualnym wydarzeniom związanym z gospodarką. Jak się później okazało, większość z nich dotyczyła gigantów sektora Big Tech, firm takich, jak Google, Facebook, Amazon i oczywiście Apple.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że w ciągu ostatnich kilku dekad koncentracja rynkowa w wielu branżach stale rosła. Ten utrzymujący się trend próbowano powiązać niemal ze wszystkim, poczynając od rosnących nierówności dochodowych przez spowolnienie tempa rozwoju gospodarczego po wzbierającą falę politycznego populizmu. Gdy już okrzeplam w mojej nowej roli w „Financial Times” i zaczęłam głębiej analizować dane finansowe, odkryłam coś, co mną wstrząsnęło – 80 procent majątku korporacyjnego należało do zaledwie 10 procent firm¹. Nie były to jednak firmy posiadające najwięcej fizycznych aktywów i towarów. Nie były to przedsiębiorstwa podobne do General Electric, Toyoty czy Exxon Mobil, a raczej te, które najlepiej zrozumiały, w jaki sposób wykorzystać nowe paliwo naszej gospodarki – informację i sieć.

Wśród tych nowych supergwiazd najliczniejsze są firmy technologiczne. To właśnie ten sektor jest najbardziej jaskrawym przykładem rozwoju monopolistycznych potęg w dzisiejszym świecie.

90 procent wyszukiwań przeprowadzonych w internecie we wszystkich zakątkach naszej planety zostało dokonanych za pomocą jednego mechanizmu wyszukiującego – należącego do Google'a. 95 procent wszystkich dorosłych użytkowników internetu, którzy

nie ukończyli 30 lat, korzysta z Facebooka (bądź z Instagrama, który został kupiony przez Facebooka w 2012 roku)³. Milenialsi spędzają 2 razy więcej czasu, korzystając z YouTube' a niż ze wszystkich innych serwisów streamingowych razem wziętych.

Do Google' a i Facebooka trafia 90 procent światowych wydatków na nowe reklamy. Systemy operacyjne Google'a i Apple'a działają na 99 procentach telefonów na całym świecie⁵. Systemy operacyjne Apple'a i Microsoftu obsługują 95 procent komputerów stacjonarnych na świecie⁶. Połowa wszystkich amerykańskich transakcji e-commerce odbywa się za pośrednictwem Amazona⁷. Tę listę można by ciągnąć bardzo długo. W sektorze Big Tech wszystko jest duże albo się nie udaje. A im większe się staje, tym bardziej prawdopodobne jest to, że urośnie jeszcze bardziej.

Bogactwo zebrane przez internetowych gigantów jest zdumiewające. Kapitalizacja rynkowa 5 firm okrzykniętych wspólnym mianem FAANG - Facebooka, Apple' a, Amazona, Netfliksa i Google'a - przekracza obecnie wartość gospodarki całej Francji. Pod względem liczby użytkowników sam Facebook jest liczniejszy niż najludniejszy kraj na świecie - Chiny⁸. Jednak kiedy duże firmy stawały się coraz większe, odbywało się to ze szkodą dla pozostałej części gospodarki. W ciągu ostatnich 20 lat, kiedy następował wzrost sektora Big Tech, przestała istnieć ponad połowa spółek publicznych. Nasza gospodarka uległa silnej koncentracji, na czym ucierpiała zarówno dynamika działalności gospodarczej, jak i przedsiębiorczość.

Gdy relacjonowałam te zagadnienia na łamach „Financial Times”, odczuwałam coraz większy niepokój z powodu rzeczy, o których słyszałam od szerokiego grona osób - pracowników, konsumentów, rodziców i inwestorów. Wszyscy oni uważali, że działania sektora Big Tech narażają na niebezpieczeństwo ich źródła utrzymania, a nawet ich życie (bądź życie osób, które kochają).

Byli to ojcowie i matki próbujący radzić sobie z dziećmi, które uzależniły się od technologii. Pracownicy, którzy stracili pracę, kiedy zbankrutowała ich firma próbująca konkurować z Amazonem.

Przedsiębiorca, którego pomysły i autorskie rozwiązania zostały skradzione przez konkurencję, ale nie miał wystarczających środków, by złożyć pozew w tej sprawie do sądu. Właściciel domu, któremu odmówiono zawarcia umowy ubezpieczenia mienia, bo algorytm, z którego korzystał dostawca usługi, wykazał, że byłoby to zbyt duże ryzyko. A także ci, którzy po prostu uważali, że przemysł technologiczny nie kwapi się do bardziej sprawiedliwego podziału zysków.

A chodzi tu o ogromne sumy. Firmy Big Tech są obecnie najbogatszymi i najpotężniejszymi podmiotami gospodarczymi na całej planecie. Atrakcyjność wytwarzanych przez nie produktów i platform w połączeniu z efektem sieciowym, polegającym na tym, że każdy nowy użytkownik przyciąga wielu kolejnych, a także dane, które dzięki temu gromadzą, pozwoliły im na rozrośnięcie się do niewyobrażalnych rozmiarów. Wykorzystały one swoją wielkość, by zmiażdżyć lub wchłonąć konkurentów, zagarnąć dane osobowe swoich użytkowników i, jak to się stało w przypadku Google'a, Facebooka i Amazona, wykorzystać je z pożytkiem dla siebie dzięki precyzyjnie kierowanej reklamie. Co więcej, i one, i inne firmy Big Tech wyprowadziły do rajów podatkowych większość swoich ogromnych zysków. Według szacunków dokonanych przez Credit Suisse w 2019 roku 10 największych firm unikających opodatkowania, w tym Apple, Microsoft, Oracle, Alphabet (spółka matka Google'a) i Qualcomm, miało na kontach zagranicznych środki w wysokości 600 miliardów dolarów¹¹. Oznaczało to obejście praw i przepisów, do których muszą stosować się zwyczajni obywatele, a największe korporacje mogą zgodnie z prawem ich unikać. Firmy z Doliny Krzemowej intensywnie lobbowały na rzecz utrzymania luk w prawie podatkowym, dzięki

którym takie działania były możliwe. Przywodzi to na myśl słowa ekonomisty Mancura Olsona, który ostrzegał, że cywilizacje upadają, kiedy interesy pieniężne biorą górę nad prowadzoną przez nie polityką.

Wielu urzędników państwowych, z którymi rozmawiałam na ten temat, podzielało oczywiście moje obawy. Dolina Krzemowa została przecież zbudowana na innowacjach finansowanych przez rząd i administrację, a zatem i przez podatników. Wszystkie one, poczynając od nawigacji GPS przez ekrany dotykowe na internecie kończąc, powstały dzięki badaniom prowadzonym lub finansowanym pierwotnie przez Departament Obrony Stanów Zjednoczonych.

Dopiero później zostały skomercjalizowane przez firmy z Doliny Krzemowej. W przeciwieństwie jednak do wielu innych krajów, także tych o prężnym wolnym rynku, na przykład Finlandii i Izraela, w Ameryce podatnik nie ma ani centa z zysków, które te innowacje przynoszą¹³. Na domiar złego w tym samym czasie, kiedy giganci technologiczni kierowali prośby do administracji państwowej o przeznaczanie większych środków między innymi na reformę edukacji, dzięki czemu siła robocza XXI wieku zyskałaby adekwatne kompetencje cyfrowe, firmy z Doliny przenosiły za granicę zarówno zyski, jak i miejsca pracy. Konsekwencje takiego stanu rzeczy dotyczą nie tylko gospodarki - wzmagając populistyczne rozgoryczenie kapitalizmem i demokracją liberalną - mają one również znacznie poważniejsze implikacje polityczne.

Dla kogoś, kto od 2007 roku uważnie śledzi to, co dzieje się w sektorze finansowym, podobieństwa były uderzające. Na naszych oczach powstała nowa branża, która stała się zbyt duża, by kiedykolwiek upaść, i zbyt złożona, by sprawnie nią zarządzać. Rozrastała się tak szybko jak inwazyjne gatunki roślin, tuż obok nas. Dysponowała większym majątkiem i osiągnęła wyższą wartość rynkową niż jakakolwiek inna branża w historii, a mimo to tworzyła znacznie mniej miejsc pracy niż przemysłowe molochy z przeszłości. Dogłębnie przekształciła naszą gospodarkę i warunki życia osób aktywnych zawodowo, zamieniając ludzi w produkty dzięki pozyskiwaniu i monetyzowaniu ich danych osobowych.

Mimo to funkcjonowała praktycznie bez żadnych regulacji i obostrzeń. I tak jak system bankowy w 2008 roku mobilizowała swoje polityczne i gospodarcze siły, robiąc wszystko, by zachować status quo.

Kiedy zaczęłam baczniej przyglądać się tym firmom, które już wtedy, po ujawnieniu faktów dotyczących wyborów prezydenckich w 2016 roku, znalazły się w ogniu krytyki, ich obraz zaczął się wyostreć. Jak teraz już wiemy, największe na świecie podmioty oferujące platformy technologiczne, między innymi Facebook, Google i Twitter, zostały wykorzystane przez Rosjan w celu wpływu na wyniki wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych i faworyzowania Donalda Trumpa. Platformy te przestały być miejscami, gdzie możemy wyszukać tanie bilety lotnicze, zamieścić zdjęcia z wakacji lub odnowić kontakty z członkami rodziny i znajomymi, z którymi od dawna nie mieliśmy żadnych relacji.

Stały się natomiast instrumentami umożliwiającymi wywieranie wpływu na sytuację geopolityczną i funkcjonowanie państw, przysparzając równocześnie zysków swojemu kierownictwu i interesariuszom. Niewinność, którą znaliśmy z wcześniejszych czasów, odeszła na zawsze.

Warto pamiętać o tej ważnej kwestii, bo w branży technologicznej nie zawsze chodziło o pieniądze. Dolina Krzemowa ulegała silnym wpływom ruchów kontrkulturowych lat 60. Ubiegłego wieku. Wielu przedsiębiorców zostało zainspirowanych wizją przyszłości, w której technologia po to zyskuje potęgę, żeby uczynić świat lepszym, bezpieczniejszym i bardziej dostępnym miejscem dostępnym dla wszystkich. Cyfrowi utopiści głoszący tę dobrą nowinę

rygorystycznie trzymali się zasad mówiących, że informacja chce być wolna, a internet będzie siłą demokratyzującą, zapewniającą wszystkim równe szanse. Kiedyś najwyżsi kapłani internetu nie trafiali na układaną przez „Forbesa” listę najbogatszych ludzi świata. W powstałej wówczas blogosferze pojawiali się jako twórcy Linuksa, Wikipedii i innych platform open source – społeczności zbudowanych na przekonaniu, że zaufanie i transparentność okażą się silniejsze niż chciwość i żądza zysku.

Prowokuje to do stawiania pytań. Jak znaleźliśmy się w tym miejscu? Jak to się stało, że branża, która była niegdyś pełna animuszu, innowacyjna i optymistyczna, w ciągu zaledwie kilku dekad stała się chciwa, zamknięta na innych i arogancka? W jaki sposób od świata, w którym „informacja chce być wolna”, przeszliśmy do takiego, w którym dane istnieją po to, by na nich zarabiać?

Jak to możliwe, że ruch, którego celem była demokratyzacja informacji, doprowadził jedynie do zniszczenia samej tkanki naszej demokracji? Jak wreszcie doszło do tego, że jednego dnia liderzy tego ruchu dłubali przy komputerach w garażu, a następnego – zdominowali naszą politykę gospodarczą?

Odpowiedź, jak szybko zdałam sobie z tego sprawę, brzmi tak: osiągnęliśmy punkt zwrotny, w którym interesy największych firm technologicznych oraz klientów i obywateli, którym teoretycznie miały one służyć, przestały być zbieżne. W ciągu ostatnich 20 lat dzięki Dolinie Krzemowej zyskałyśmy naprawdę niesamowite rzeczy, od wyszukiwarek internetowych przez media społecznościowe po mobilne urządzenia dysponujące zadziwiającymi możliwościami obliczeniowymi. Dzięki niewielkim przedmiotom mieszczącym się w kieszeni mamy dziś dostęp do mocy obliczeniowej znacznie większej niż ta, którą dysponowały całe firmy zaledwie jedno pokolenie temu. Wszystkie te nowoczesne udogodnienia mają jednak swoją cenę – i to dość wygórowaną: nerwowe uzależnienie od technologii, które pochłania nasz czas i niweczy naszą produktywność, falę fałszywych informacji i mowę nienawiści, drapieżne algorytmy, których celem są słabi i niepotrafiący się bronić, całkowitą utratę prywatności, akumulację coraz większej części naszego narodowego majątku przez coraz mniejszą podgrupę społeczeństwa.

Co więcej, wszystkie te problemy, choć często traktuje się je osobno, są ze sobą ściśle powiązane. Na początku był jeden niezaprzeczalny problem: model biznesowy w znacznym stopniu polegający na tym, że ludzie mają jak najwięcej czasu spędzać online, a uwaga, którą temu poświęcają, zostanie zmonetyzowana.

Wiele osób z Doliny Krzemowej nie chciało przyznać się do tego, że tak właśnie jest. Handlarze uwagą, jak Tim Wu, pracownik naukowy Uniwersytetu Columbia, określił firmy Big Tech, wykorzystują perswazję behawioralną, zdobyte dane osobowe i efekty sieciowe, żeby uzyskać monopolistyczną potęgę, dzięki której w końcu zdobędą władzę polityczną, co z kolei pozwoli im na utrzymanie swojej pozycji.

Facebook, Google i Amazon zyskały kiedyś gwarancję nietykalności. Przecież, co logiczne, Google prezentuje wyniki wyszukiwani w internecie za darmo. Konto na Facebooku można utworzyć za darmo. Amazon obniża ceny i rozdaje produkty za darmo.

Czyż nie jest to dobre dla konsumentów? Problem polega jednak na tym, że za darmo nie oznacza wcale, że nie będziemy musieli za to zapłacić. To prawda, że za większość usług cyfrowych nie płacimy pieniędzmi. Płacimy jednak, i to słono, naszymi danymi i uwagą. To ludzie są zasobem, który służy zarabianiu pieniędzy.

Wydaje nam się, że jesteśmy konsumentami. W rzeczywistości jesteśmy produktem. Są to oczywiście problemy, o których liderzy Doliny Krzemowej nie za bardzo chcą z nami

rozmawiać. Wiele wpływowych osób stamtąd woli pławić się w poznawczej bańce, stroniąc od zajmowania się w dogłębny i transparentny sposób uzasadnionymi obawami obywateli dotyczącymi zabezpieczenia naszych danych, tego czy przez sztuczną inteligencję i automatyzację nie stracimy zbyt dużej liczby miejsc pracy, utraty prywatności, skoro nasze położenie jest w każdej sekundzie śledzone przez tysiące aplikacji, wpływania na wyniki wyborów, a także tym, jak na nasze mózgi oddziałują te lśniące urządzenia, które przenikają każdy aspekt naszego życia. Kiedy zadaję te pytania technologicznym guru, ich reakcje są rozmaite - od obronnych przez naiwność do bezradności.

Najgorszy ze wszystkich jest jednak protekcyjny uśmiech lub poirytowana mina, które mówią: „Jesteś osobą z zewnątrz i po prostu tego nie rozumiesz”. Możliwe jednak, że nie rozumieją tego sami specjaliści od technologii. Jak powiedział mi kiedyś John Battelle, związany z magazynem „Wired” : „Społeczność osób związanych z branżą technologiczną nie ma właściwego oglądu swojej sytuacji. Nie jesteśmy ani humanistami, ani filozofami. Jesteśmy inżynierami.

Dla Google’a i Facebooka ludzie to algorytmy. Jakbym to już gdzieś słyszała. Jestem już w takim wieku, że przeżyłam jeden duży cykl wzrostu i spadku koniunktury w obszarze technologii. Od 1999 do 2000 roku pracowałam w Londynie w inkubatorze wysokich technologii. Doświadczenia z tego płynące opiszę w następnych rozdziałach książki. Zarówno wówczas, jak i obecnie branża technologiczna mówiła przede wszystkim do samej siebie. Niepokorzona pycha, którą obserwujemy dzisiaj, osiągnęła poziom niespotykany od czasów poprzedzających upadek dotcomów. Tylko że tym razem jest ona znacznie groźniejsza, biorąc pod uwagę to, że w Ameryce firmy takie jak Amazon czy Apple zadomowiły się już na dobre. Tak jak wielkie banki z Wall Street, dysponują one ogromnymi sumami pieniędzy, mają olbrzymią władzę, zgromadziły gigantyczną ilość danych. Ale w przeciwieństwie do Lloyda Blankfeina, byłego prezesa Goldman Sachs, nie żartują, kiedy twierdzą, że czynią boskie dzieło.

Wystarczy wziąć udział w dowolnej konferencji technologicznej, żeby przekonać się, jak wiele osób z Doliny Krzemowej wciąż hołduje przekonaniu, że uczynili świat bardziej wolnym i otwartym, pomimo licznych i bezspornych dowodów na to, że jest inaczej.

Dolina Krzemowa daleko odeszła od swoich korzeni tkwiących w ruchu hippisowskim i duchu przedsiębiorczości. Osoby zarządzające w sektorze Big Tech są tak samo pazernymi kapitalistami jak każdy finansista. Często przejawiają również pociąg do libertarianizmu.

Wyznają poglądy, zgodnie z którymi wszystko i wszyscy - rząd, administracja, politycy, społeczeństwo obywatelskie, prawo - może, a nawet powinno, zostać zniweczone. Jonathan Taplin, jeden z krytyków Big Tech powiedział mi kiedyś: „Demos - samo społeczeństwo - jest często traktowane jako coś stojącego na drodze”.

Dlaczego zatem nasi polityczni przywódcy nie wprowadzili żadnych rozsądnych uregulowań, które tego typu instynkty utrzymywałyby na wodzy? Szukając odpowiedzi, warto popatrzeć, gdzie ostatecznie trafiły pieniądze. Nie bez powodu Big Tech rywalizuje teraz z Wall Street i wielkimi firmami farmaceutycznymi pod względem wysokości środków przeznaczanych na lobbing polityczny.

W latach poprzedzających kryzys finansowy 2008 roku największe banki świata wysyłały swoich przedstawicieli do Waszyngtonu, Londynu i Brukseli, żeby obracali się tam wśród ludzi tworzących prawa i przepisy regulujące ich działalność i lobbowali na swoją korzyść. W czasie ostatnich 10 lat twarze osób z Doliny Krzemowej bardzo opatrzyły się w tych stolicach. Celował w tym Google, który do Waszyngtonu wysłał tylu emisariuszy, że potrzebowali dla siebie przestrzeni biurowej wielkości Białego Domu.

Pomimo wysiłków rzesz lobbystów i piarowców z Doliny Krzemowej publiczne obawy dotyczące oddziaływania technologii na życie gospodarcze i społeczne nie maleją. Wprost przeciwnie, są tym silniejsze, im bardziej technologia wdziera się w gospodarkę oraz życie polityczne i kulturalne. Big Tech to dzisiaj nowa Wall Street. Nic więc dziwnego, że jest głównym celem populistycznych ataków w świecie podzielonym jak nigdy wcześniej, zarówno pod względem ekonomicznym, jak i społecznym.

Zmiany wywołane przez Big Tech stały się najbardziej palącymi problemami naszych czasów. Profesorka Harvardzkiej Szkoły Biznesu Shoshana Zuboff i inni naukowcy poddali już krytyce powstanie kapitalizmu inwigilacyjnego, który – jak definiuje go Zuboff – jest „nowym porządkiem ekonomicznym, który traktuje ludzkie doświadczenie jako surowiec do niejawnych praktyk komercyjnych polegających na wydobywaniu (informacji o nas), przewidywaniu (naszych zachowań) i wzroście sprzedaży”, a także „pasożytniczą logiką gospodarczą, zgodnie z którą wytwarzanie dóbr i usług zostaje podporządkowane nowej globalnej strukturze służącej modyfikacji naszego zachowania” za pomocą cyfrowych technologii nadzoru¹⁸. Uważa ona (a ja się z tym zgadzam), że kapitalizm inwigilacyjny stanowi istotne zagrożenie dla naszych gospodarczych i politycznych i jest potencjalnym narzędziem kontroli nad społeczeństwem¹⁹. Ja również doszłam do przekonania, że minimalizowanie złowrogich efektów ubocznych działalności Doliny Krzemowej stanie się „w ciągu najbliższych 5 lat kluczowym problemem gospodarczym [dla stanowiących prawo], zwłaszcza biorąc pod uwagę, że automatyzacja będzie się rozwijać, a oni będą inwestować również w innych sektorach gospodarki” – jak ujął to współpracownik jednego z wieloletnich senatorów z Partii Demokratycznej.

Nie jest to jednak historia do zamieszczenia tylko w dodatku biznesowym. Wprost przeciwnie, Big Tech jest bohaterem niemal każdej historii, która teraz pojawia się w programach informacyjnych, ustępując pod tym względem jedynie wiadomościom na temat Donalda Trumpa. Przy czym prezydent prędzej czy później nas opuści, a Big Tech zostanie z nami na zawsze, stopniowo zmieniając nasze życie, w miarę jak technologia będzie coraz głębiej wkraczać w gospodarkę, politykę i kulturę. Ten proces dopiero się zaczyna. To prawda, że zmiany, które zaszły w ciągu ostatnich 20 lat były zadziwiające, ale są one tylko pierwszym etapem rozpisanego na wiele dekad okresu przejściowego poprzedzającego nastanie epoki gospodarki cyfrowej, równającej się pod względem transformacyjnej mocy jedynie z rewolucją przemysłową. A kiedy to się już dokona, może się okazać, że skutki będą jeszcze dalej idące, przekształcając naturę demokracji liberalnej, kapitalizmu, a nawet samej ludzkości.

To, co robi Big Tech, ma, jednym słowem, ogromne znaczenie. Choć jestem krytyczna wobec wielu aspektów tej cyfrowej transformacji, nie da się ukryć, że niesie ona ze sobą również ogromny potencjał pozytywny. Dolina Krzemowa jest największym wytwórcą korporacyjnego kapitału w historii. To ona połączyła świat, pomagała wzniesić rewolucje przeciwko opresyjnym rządóm (nawet jeśli ułatwiała również stosowanie represji) i stworzyła zupełnie nowe paradygmaty inwencji i innowacji. Dzięki platformom technologicznym wiele osób może pracować zdalnie, utrzymywać relacje na odległość, rozwijać nowe talenty, wprowadzać na rynek swoje pomysły, dzielić się z ludźmi na całym świecie swoimi poglądami, wytworami swojej kreatywności i wytwarzanymi przez siebie produktami. Big Tech zapewnił nam narzędzia, dzięki którym wiele usług i towarów – od transportu po żywność i opiekę lekarską – jest dostępnych na żądanie. Dzięki nim również całe nasze życie jest wygodniejsze i efektywniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

W tych i wielu innych obszarach rewolucja cyfrowa jest ogromnym i bardzo pożądanym krokiem naprzód. Jeżeli jednak chcemy jak najszerzej korzystać z dobrodziejstw technologii, musimy zapewnić wszystkim równe szanse, dzięki czemu następne pokolenie innowatorów

będzie mogło dobrze się rozwijać. Do takiego świata jeszcze daleka droga. Big Tech dokonał zmian na rynku pracy, pogłębił nierówności dochodowe i zamknął nas w bańkach filtrujących, gdzie docierają tylko takie informacje, które potwierdzają nasze wcześniejsze opinie. Nie zaproponował jednak, jak uporać się z tymi problemami. Zamiast nas oświecać, ogranicza nam horyzonty; zamiast zbliżać ludzi, rozrywa zadzierzgnięte więzi.

Z każdą wibracją i sygnałem naszych telefonów, każdym automatycznie pobranym wideo, każdym nowym kontaktem pojawiającym się w naszych cyfrowych sieciach, dostajemy jedynie przeblysk przepastnego nowego świata, który, prawdę mówiąc, wykracza poza możliwości poznawcze większości ludzi. To przedziwna kraina informacji i dezinformacji, trendów i tweetów oraz zaawansowanych technologii inwigilacyjnych, które stały się nową normalnością. Pomyślmy chwilę. Rosyjscy hakerzy majstrujący przy wyborach, szerzące nienawiść wpisy na Twitterze, kradzież tożsamości, wielkie zbiory danych, fałszywe wiadomości, oszustwa internetowe, cyfrowe uzależnienie, wypadki spowodowane przez pojazdy autonomiczne, świt robotów, koszmarna technologia rozpoznawania rysów twarzy, Alexa podsłuchująca wszystkie prowadzone przez nas rozmowy, algorytmy śledzące nas, kiedy pracujemy, bawimy się i śpimy, firmy i rządy, które z nich korzystają.

Lista zmian społecznych wywołanych przez technologię nie ma końca. A wszystkie te rzeczy powstały w ciągu zaledwie kilku ostatnich lat. Każda z nich osobno to tylko pył w oku. Razem tworzą jednak marznącą zawieruchę, lodową śnieżycę niosącą mgliste odrętwienie, trwożną mgłę dzisiejszych czasów.

Problemem jest to, że w czasie wielkich zmian technologicznych nastaje równie wielki zamęt, z którym trzeba się uporać dla dobra całego społeczeństwa. W przeciwnym razie czekają nas wydarzenia takie jak wojny religijne XVI i XVII wieku. Jak opisuje to historyk Niall Ferguson w książce Rynek i ratusz, mogłyby się one nie wydarzyć, gdyby nie powstały nowe technologie takie jak prasa drukarska. Ostatecznie dało nam to wprawdzie erę oświecenia, ale dopiero wtedy, kiedy został obalony stary porządek.

W taki sam sposób internet i media społecznościowe dzisiaj przewracają społeczeństwo do góry nogami. Nikt nie jest w stanie zatrzymać biegu technologii - ani nikt nie powinien. Z zamętem można jednak i trzeba radzić sobie lepiej, niż robiliśmy to dotychczas. Dysponujemy narzędziami, które dają nam taką możliwość. Dzisiaj wyzwaniem dla nas jest dojście do tego, jak narzucić ograniczenia branży technologicznej, która stała się potężniejsza niż niejedno państwo. Jeśli uda nam się stworzyć rozwiązania wspierające innowacje i umożliwiające dzielenie się dobrobytem w znacznie większej niż dotychczas skali, a równocześnie chroniące ludzi przed mroczną stroną technologii cyfrowych, to kilka następnych dekad ma szansę stać się złotym wiekiem globalnego rozwoju.

Moja książka jest próbą rzucenia światła na sprawy związane z Big Tech, które powinny nas niepokoić, i na to, co możemy zrobić, żeby je naprawić. Mam nadzieję, że będzie dzwonkiem alarmowym nie tylko dla tych, którzy podejmują decyzje i zajmują wysokie stanowiska, ale dla wszystkich wierzących w przyszłość, w której korzyści z innowacyjnych rozwiązań i postępu technologicznego przeważają nad kosztami dla jednostek i dla społeczeństwa. W naszym wspólnym interesie jest wiara w to, że będziemy ją w stanie zbudować. Bo, jak wyjątkowo dobrze zrozumieliśmy w ciągu ostatnich kilku lat, z chwilą kiedy ludzie przestają wierzyć, że system jest dla nich dobry, to ten system nie ma przed sobą przyszłości.

Fragment pochodzi z książki „Nie czyń zła”.

Dziękujemy Wydawnictwu Polext za udostępnienie materiału.

Więcej o książce znajdziecie tutaj: <https://www.kobietybiznesu.pl/nie-czyn-zla-jak-big-tech-zdradzil-swoje-ideal-y-i-nas-wszystkich-cykl-co-przeczytac/>